№ 18.

Warszawa dnia 23 Kwietnia / 5 Maja r. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

ODPOWIEDŹ

NA ARTYKUŁ PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

POD TYTUŁEM

ZBYTEK W STROJACH.

Szanowny Redaktorze!



Ilekroć mówisz o kobietach, zawsze artykuły Twoje odznaczają się najsumienniejszą bezstronnością, zawsze starasz się zapewnić im należne stanowisko, i znając wady, umiesz zarazem oceniać i niezaprzeczane przymioty i zalety, lekko karcić złe i zbawiennie zachęcać do wytrwania w dobrem. Z tego tytułu pozwalam sobie przesłać Ci załączoną tu odpowiedź na artykuł „Zbytek w strojach" prosząc jeśli to stosownem uznasz, o zamieszczenie go w kolumnach swego Pisma.

Dotąd życie moje upływało spokojnie w domowéj zaciszy, ani przez myśl mi nie przeszło żeby kiedyś pisać do druku, aż tu fatalizm jakiś podsunął mi „Przegląd Tygodniowy". Przeczytawszy wyż wspomniony artykuł, myślę sobie: czekajmy, przecież ktoś ujmie się za prawdą; a widząc że czas mija, i nikt, a nawet i Ty Szanowny Redaktorze, nie podnosisz publicznie rzuconéj kobietom rękawicy, w oburzeniu chwytam za pióro, i gdy szron siwizny dawno już włosy me przypruszył, poważam się wstępować w zawód pisarski, ma się rozumieć po raz pierwszy i ostatni.

Racz przyjąć i t. d.

*****

Numera 10 i 11 Przeglądu Tygodniowego obejmują dwa artykuły p. t. „Zbytek w strojach" pomijamy N. 11, ale nie możemy pominąć milczeniem artykułu w Nrze 10. Jakkolwiek autor jego zaczyna od słów „Zbytek w strojach *kobiecych i mężkich*" jednakowoż cały skierowany jest do kobiet, czyli właściwiéj mówiąc przeciw kobietom, a ktoś złośliwy mógłby utrzymywać, że dla tego tylko był napisany, aby mieć sposobność niby grzecznie powiedzieć kobietom: że są materjalistki, czcze, próżne i jakby to powiedzieć... nadzwyczaj ograniczone. Przyznając najzupełniejszą słuszność autorowi w tem gdzie powstaje na rzeczywisty zbytek w strojach i ogólne skażenie gustu, musimy powstać przeciw ostatnim jego zawnioskowaniom, jakoby „głównym powodem upadku moralności i wszechwładnie panującego dziś materjalizmu, był brak *umysłowego* ukształcenia kobiet," i to jeszcze „*mianowicie u nas*". Widać los srodze zawziął się na niego, skazując na przebywanie w towarzystwach kobiet „posiadających tak słabe i powierzchowne ukształcenie, że tylko o ukochanéj modzie i najświeższych strojach rozmawiać umieją". Biedny! żal nam go szczerze, bo cóż to za smutna dola!.... ale jeśli tak jest, niech nie zapomina że nie należy z wyjątków sądzić o ogóle.

Gdybyśmy chcieli co zarzucić kobietom, to pewno nie brak umysłowego wykształcenia, bo pod tym względem każdy bezstronny dostrzegacz przyznać musi, że dziś *w ogóle*, mianowicie u nas kobiety stoją wyżéj od mężczyzn, i nie ma pewnie towarzystwa, choćby z kilku tylko złożonego kobiet, z których by jedna przynajmniéj, w najpoważniejszych nawet przedmiotach, dobrze rozmawiać nie umiała.

W innem znowu miejscu jest powiedziane: zarzucają mężczyznom że przyklaskując strojnisiom i kokietkom, usprawiedliwiają, a nawet stają się źródłem szalonych na gałganki wydatków. Ale i dodaje daléj autor, „nie jesteśmy tak *dziecinni* abyśmy podobne oskarżenia mieli przyjmować za ważne argumenta."

Niech nam autor artykułu daruje, ale nie trzeba bynajmniéj być *dziecinnym*, aby wyż przytoczony po-

wód uważać za jeden z najważniejszych, a kto wie, nawet czy nie za główne źródło téj plagi życia rodzinnego, jaką jest zbytnie uganianie się niektórych kobiet za zbytkowym strojem, i nieodstępną zazwyczaj od niego żądzą zabaw i błyszczenia.

Kiedy z przyczyny przemówienia w senacie francuzkim sławnego prokuratora jeneralnego pana Dupin „o przesadzonym zbytku w strojach kobiet“ we wszystkich niemal pismach tamecznych ukazały się artykuły i rozprawy w tym przedmiocie, jeden z najznakomitszych publicystów paryzkich napisał: „że wszystkie te rozprawy noszą zupełnie niewłaściwy nadpis, który należałoby raz już zmienić i zamiast „*O zbytku kobiet*“ pisać „*O głupocie mężczyzn*“. Zbytek bowiem ten, jest to wytwór czysto męzki, i darmo łamać sobie głowę nad obmyśleniem środków wytępienia téj strasznéj plagi, dopókąd mężczyźni nie zechcą, czy nie potrafią zastosować wszechwładnie skutecznego, w ich ręku złożonego lekarstwa“.

Mody, a z niemi zbytek i niezaprzeczone skażenie gustu, przychodzą do nas z Paryża, a na ich wytworzenie składa się tam wielki i tak zwany pół świat, czyli jest tam zbytek własnemi opłacany pieniędzmi i zbytek cudzym podtrzymywany kosztem. Nie wspominalibyśmy tu o ostatnim, gdyby, co dotąd było niemal bezprzykładnem, nieoddziaływał zbytecznie na pierwszy. A czyż mówi p. de Lagardie, zbytek ten mógłby istnieć bez woli i współudziału mężczyzn? Któż to przenosi do salonów anegdotki i dowcipy owych wyelegantowanych piękności? Kto nieustannem ich wychwalaniem, budzi w żonach, siostrach, córkach, naganną chęć naśladowania i jakby współzawodnictwa? Kobiety światowe, uniesione wrodzoną żądzą podobania się, podbudzoną nieraz chwalebną poniekąd chęcią zachowania serca męża, nie czują, nie pojmują nawet jak poniżającą odgrywają rolę, przejmując mody i zwyczaje o których istnieniu wiedziećby nawet nie powinny. Zdaje nam się że *najstronniejszy* nawet sędzia, musi przyznać że tu wina jest co najmniéj wspólna.

Nie zaprzeczamy, że nieustannie wzmagający się zbytek w stroju kobiet, nacechowany tak zupełnem pogwałceniem dobrego smaku, nosi nadto na sobie jakieś niewypowiedzianie poniżające piętno, a jest to najniezawodniéj najwięcéj zatrważający, najzgubniejszy symptomat. Jakkolwiek słusznie mówi autor artykułu w Przeg. Tygod:

„Szalony zbytek w strojach datuje się głównie od czasu pojawienia się krynoliny, nie będąc bynajmniéj jéj stronnikiem, zostawiemy ją jednak w pokoju, bo nie chodzi o to co kobiety noszą, ale ile wydają, i to jeszcze chcąc być sprawiedliwym, ile wydają odnośnie do swoich dochodów lub majątku. Bo zbytek jest rzeczą względną, i jakkolwiek pożądaną byłaby owa doskonałość ewangeliczna, nakazująca poprzestać na zaspokojeniu niezbędnych tylko potrzeb życia, a resztę rozdać uboższéj braci, ale gdy dziś, niestety! doskonałość taka nie jest z tego świata, nie możemy więc stawiać na jednéj szali, kobiety, któréj położenie towarzyskie i znaczny majątek dozwala ubierać się kosztownie i wytwornie, bez niczyjéj krzywdy i straty, (choć niezaprzeczenie nawet najbogatsza i stojąca choćby na najwyższym szczeblu społeczeństwa, zapoznaje swoje posłannictwo i godność, jeśli przeważnie zajmuje się strojem i zabawami) nie możemy, powtarzam stawiać jéj na jednéj szali z kobietą która żadnego, lub szczupły bardzo posiadając dochód czy majątek, uniesiona szalonem zamiłowaniem w strojach, domaga się *równości w obec zbytku*, i niepomna że naraża męża czy rodzinę na kłopoty, długi, a niejednokrotnie upadek lub hańbę, żyje tylko dla stroju i w strojach, marnując na fatałaszki grosz krwawo zapracowany przez męża lub ojca.

Kobiety takie, a liczba ich nieustannie dziś wzrasta, są prawdziwą plagą społeczeństwa, a jednak zastanowiwszy się głębiéj, możnaż nie przyznać, że sami tylko mężczyźni mogliby *i powinni* wyzwolić świat od niéj.

Czy jako córka, czy jako żona, kobieta od kolebki niemal do grobu, podlega przeważnie władzy i wpływowi mężczyzny; ojciec i mąż winien kierować, a więc ojciec i mąż odpowiada za jéj postępowanie. A jakież to wzory i przykłady dają kobietom owi ojcowie, mężowie lub bracia? Gdzie wielkie ich i wzniosłe cnoty.

Utrzymują że kobiety tworzą obyczaje; jest to o tyle prawdą, że jako matki kształcą mężczyzn, i z téj strony moglibyśmy zarzucić że wiele z nich wychowuje synów bardzo niewłaściwie. Lecz czyż można o to potępiać je tak bardzo? Gdzież i kiedy mogły się nauczyć spełniać trudne zadanie kształcenia i rozwijania młodziutkich intelligencji, wszczepiania w ich serca wielkich cnót, wytrwałości i silnéj woli, oraz mocy i hartu duszy bez których mężczyzna nigdy nie odpowie swym obowiązkom?

Środkiem na to, jest zająć się od kolebki *gruntownem moralnem* ukształceniem wszystkich dziś rodzących się dziewcząt, nie przedstawiać im zamąż pójścia za jedyny cel życia do którego tylko zmierzać powinny, ale zaszczepiać żywe poczucie własnéj godności, i wychowywać je tak, aby każda, w jakim bądź stanie, choć jedną rzecz umiała tak dokładnie, aby pozbawionéj majątku zapewniała byt niezależny. Przedewszystkiem zaś, aby starały się, nie o podobanie, ale o zadowolnienie i uznanie własnego sumienia, a wtedy potrafią z kolei tak wychowywać synów, iż śmiało ręczyć można, że za jakie lat 50 żony i córki żyjących wtedy mężczyzn, nie będą pewnie przedstawicielami rozkiełznanego zbytku.

Ale powie ktoś: środek to trudny do wykonania, błogie jego następstwa w dalekiéj dopiero błyszczą oddali, a z owoców zaledwie wnuki nasze korzystaćby mogli. Dobrze więc wskażemy drugi, niemylny, dający się wprowadzić każdéj chwili i skutkujący niezwłocznie, tylko że ten już sami tylko mężczyźni mogą wprowadzić w wykonanie.

Zbytek kobiet koncentruje się głównie w ubiorze. Zazwyczaj strojne zbytkownisie mniéj dbają o kosztowne sprzęty, drogocenne obrazy, zabytki sztuki, lub przepych i wykwintność stołu, tak dalece, że często się zdarza. iż kobiety próżne, zakochane w zbytkowym stroju a nie mające odpowiednich dochodów, skazują się niemal na głód i jak najdotkliwszy niedostatek lub niewygody, byle tylko mogły się ustroić i błyszczeć pozornie. Nie dość na tem, największe strojnisie za domem, w domu chodzą często najwięcéj opuszczone i każdy znający je tylko z wieczorów, wizyt lub spacerów, zdziwiłby się niepomału, a nieraz nawet i nie poznał, gdyby mu się przytrafiło przy-

padkiem zejść je niespodzianie w domowem zaciszu. Tak więc nie miłują one zbytku dla zbytku, ale uciekają się doń jedynie jako do niemylnego środka podobania się i zwrócenia uwagi. Dowodem tego najlepszym że nie znajdzie ani jednéj, choćby najlekkomyślniejszéj, najwięcéj za zbytkowym strojem uganiającéj się kobiety, któraby nie zamieniła najpyszniéjszéj szaty na najskromniejszą sukienkę, gdyby *mogła być przekonaną*, że w drogocennéj będzie jéj brzydko, a w ubożuchnéj zajmie i spodoba się wszystkim. I dla kogóż to kobiety ponoszą te wszystkie ofiary i trudy? Komuż pragną się podobać?.... mężczyznom, — bo przyznaj sam, panie autorze artykułu zamieszczonego w Przeglądzie Tygodniowym, że dotąd, powabna powierzchowność podniesiona strojem, jest podobno najlepszym do tego środkiem. W każdem liczniejszem zebraniu, jakież kobiety bywają głównym celem zabiegów, grzeczności i hołdów mężczyzn, czy niełodne, ale zacne, dobrze wychowane, ukształcone, ciche, skromne i ubrane skromnie choć gustownie? czy ładne choćby płoche, próżne, ale zbytkownie wystrojone lalki? Nie dość na tem, jakaż w ogóle dziewica łatwiéj pójdzie za mąż, zrobi jak to mówią świetną partję, czy skromna, bogobojna, pracowita, wychowana na dobrą żonę, i matkę, czy zalotna strojnisia, goniąca jedynie za ubiorem i zabawami, naturalnie przypuszczając, że obie będą równie bogate lub ubogie?... I któż tu winniejszy? czy kobiety, że pragnąc się podobać uciekają się do jedynego pozostawionego im środka, czy mężczyźni, którzy całem postępowaniem swojem zmuszają je do błąkania się w zaczarowanem kole podnoszenia swéj powierzchowności?

Doprawdy ilekroć czytamy liczne dzieła i rozprawy w téj tak zwanéj „kwestji kobiet" będącej dziś wszędzie niemal na porządku dziennym, z których wiele jak pp. Laboulaye, Légouvé, Baudrillart pisane są z wielkim talentem i z nadzwyczaj głęboko wyrozumowanym poglądem, mimowolnie myślemy sobie: na co tu tyle nauki, pracy, tyle zapisanych arkuszy i wydrukowanych tomów, kiedy stokroć byłoby łatwiéj dojść zamierzonego celu poprawy kobiet, zaczynając od poprawy mężczyzn. Tak panowie, jeśli te wszystkie utyskiwania i skargi na zbytek i płochość kobiet, nie są tylko czczą deklamacją, próżnym szmerem mającym zagłuszyć budzący się może wyrzut waszego sumienia, jeśli rzeczywiście chcecie je uzacnić i poprawić, zacznijcie od siebie. Przekonajcie kobiety o wyższości waszego serca i umysłu, pokażcie że umiecie ocenić i otoczyć należnym szacunkiem i czcią, kobiety pojmujące swą godność i posłannictwo, a traktujcie z pogardliwem lekceważeniem strojnisie i salonowe lalki. Nie nazywajcie *gąskami* młodych dziewcząt, które przez chwalebną nieśmiałość i skromność, nie popisują się, jak wiele bezdusznych lalek, z pożyczanym często dowcipem, i choć nie raz wysoko i gruntownie ukształcone, wolą już uchodzić za *ograniczone i bez życia*, niż zbytnią śmiałością i wyzywającą zalotnością, dobijać się waszych hołdów.

Niech kobieta od lat dziecinnych słyszy zawsze z ust waszych, że jéj królestwem dom i rodzina, berłem prostota, skromność i łagodność; jéj najpiękniejszą koroną, zasłużenie na miano wzorowéj córki, siostry, żony i matki, nie zaniedbujcie żadnéj sposobności ohydzenia w oczach córek i żon waszych, zbytniego zamiłowania w strojach i chęci błyszczenia, wyłączajcie najtroskliwiéj z towarzystwa rodzin waszych, kobiety poniżające wielkie i święte swoje posłannictwo, bez względu na ich stanowisko i majątek, a przekonacie się jak prędko i chętnie kobiety wejdą na wskazywaną im drogę, choćby *z początku* dla tego tylko aby się wam podobać.

Wiele i wiele w tym przedmiocie powiedziano, wiele powiedziećby jeszcze można, i może w końcu autor wyż wzmiankowanego artykułu, przyznałby nareszcie, że nie jest to bynajmniéj *dziecinne* zdanie, jeśli ktoś mężczyznom przypisuje winę zbytku kobiecego w strojach, ale szczupłe ramy tego artykułu zmuszają nas poprzestać na tych kilku uwagach. Nie możemy jednak nie zwrócić się raz jeszcze do uczynionego przez autora kobietom zarzutu, że w towarzystwach, *i to jeszcze mianowicie u nas*, jedynym, ulubionym pogadanki ich przedmiótem, *są ukochane mody*. Daruj, panie autorze, ale zdaje nam się że nie mówisz tego z doświadczenia, ale powtarzasz, nie sprawdziwszy, niegodziwą jakąś plotkę.

Że można napotkać w towarzystwach kobiety ograniczone i modami tylko zajęte, tego nie zaprzeczamy bynajmniéj, ale nie możemy uwierzyć, żeby w całéj Warszawie znalazło się choćby jedno nieco liczniejsze zebranie, z samych podobnych złożone istotek, (ma się rozumieć mówimy tu o klassie ukształconéj). Jeśli więc autor wyszukał gdzieś taką osobliwość, prosimy najuprzejmiéj o adres, abyśmy mogli przekonać się naocznie.

Ale przyjmując za prawdę to złośliwie bajeczne podanie, musim znowu zwrócić się do jednéj zawsze piosenki, i zapytać: czyjaż to wina jeśli nie mężczyzn?

Starajcie się panowie wyrugować raz na zawsze z towarzystw ów obyczaj, nakazujący aby mężczyźni bawili się oddzielnie, nie uciekajcie jeśli nie do zielonych stolików i cygar, to do kątów i kącików, umiejcie prowadzić i utrzymać poważniejszą rozmowę, a przekonacie się, że nawet kobiety którym wiele możnaby zarzucić, nie są często pozbawione wyższego ukształcenia umysłowego. Nie dość na tem, bo nawet te co wolałyby rozmawiać o strojach i fraszkach, przez samą miłość własną zachowają to upodobanie w najgłębszéj tajemnicy, zastosują się do ogólnego ustroju, a co więcéj, powoli nauczą się myśleć i zrozumieją, że mody i stroje nie są przecie jedynem, najważniejszem życia zadaniem.

*****

PRACOWNICY MORZA

POWIEŚĆ

W TRZECH TOMACH WIKTORA HUGO.

PRZEGLĄD.

Już to genjusze pióra dziwnie i różnie nas darzą. Niedawno co skruszyliśmy kronikarskie pióro nasze przed potęgą prostoty W. Hugo w jego „Piosnkach ulic i lasów", poiliśmy się wraz z prostym i naiwnym ludkiem sielanką życia wiejskiego, nuciliśmy z odmłodniałym poetą piosnkę żniwiarską, i bodajby nas poeta był na zawsze zostawił w tych zagrodach wesołéj

swawoli..... a dziś znowu zagrzmiał nam nad uchem potężnemi słowy wezbranéj duszy, zahuczał falą śpienionego morza, porwał nas z cichego ustronia i przerzucił gdzieś na szczyty skał morskich, męcząc i dusząc nas w téj podróży szalonéj, scenami przerażającéj walki dwóch wręcz przeciwnych żywiołów na ziemi — dusznéj potęgi człowieka z rozhukaną potęgą fal morskich. Człowiek i.... morze, żywioły to wcale niedobrane, pomyśli niejeden — to walka nierówna, szalenie ryzykowna, i zda się, wcale niepodobna. Gdzież-bo równowaga sił takich przeciwników?.... Człowiek, ta drobna wątła istotka, ma-ż się imać z tytanem przyrody i królem żywiołów na ziemi? Cóż to za myśl szalona, jakież zarozumienie o władzy człowieka w obec tych fal morskich, co to w swem łonie tyle miljonów ludzi pochłonęły! A przecież, tak mieć chce poeta: i nie wzbraniajmy mu tego, bo natchnienie genjuszu nieznа mikroskopijnych miar naszych poglądów, niezna prozaicznego krótkowidzenia, nieznа nawet granic dla myśli i fantazji — dla niego wszystko jest możliwem, mianowicie tam gdzie idzie o podniesienie wielkości człowieka, o z idealizowanie potęgi jego ducha i woli. Owóż to zidealizowanie potęgi duszy jest celem najnowszéj powieści W. Hugo, a jéj tłem zewnętrznem czarująca opowieść o doli rybaków, zamieszkujących małą wysepkę na morzu niemieckiem, na któréj i sam poeta od lat kilku stałe obrał sobie mieszkanie. Wrażliwa dusza poety nie mogła patrzyć się obojętnie na mozolny żywot mieszkańców téj wyspy, na ich dolę tak ciężką, na pracę tak krwawą a nic niemal nieprzynoszącą, na ich zapasy z morzem, burzami, a wreszcie i na ich stosunki rodzinne, w które jak widać wglądał niezmordowanie, bo też mówiąc prawdę pokochał ich duszą a ciałem— inaczejby może nie był wysnuł ze swéj wyobraźni tyle postaci rybackich, a tak olbrzymich, czasem pięknych cudownie, jakby to na skromny światek rybaków wcale nieprzystało. Istne rzekłbyś powykował posągi. A tak na pierwszym planie powieści stawia cichą milczącą postać Gilliata, prostego sobie rybaka lat dwudziestu i kilku; wprost jemu stawia Lethierry'a, starego marynarza, z urodziwą pobok synowicą imieniem Déruchette; w głębi nieco ukazują się postacie: Clubina, zuchwalca podejrzanéj wiary, i Ebenezer-Caudray'a księdza protestanckiego, zapędzonego dziwnym zbiegiem okoliczności na ową wysepkę. To wszyscy. Zaiste, na powieść trzytomową, to garstka nieliczna, i jak na szkic takich rozmiarów wcale nie zwykła. Wątek téj powieści jest mniéj więcéj następujący. Lethierry, stary marynarz, trochę chciwy zysku i grosza, wysełał do Anglji swój parostatek, będący jedynem źródłem jego zarobku. W powrocie statek ten rozbija się o poblizkie skały wysepki, niemal w oczach starego marynarza, który nań z trwożliwą wyczekiwał niecierpliwością. Utrata parostatku strasznie dotknąć musiała zrospaczonego marynarza, tem bardziéj że do nieszczęsnéj téj katastrofy przyczynił się przeniewierczy Clubin, któremu w dobréj wierze poruczył był nadzór nad statkiem. Marynarz nie widząc sposobu odzyskania jedynéj swéj chudoby, wpada w przystępie rozpaczy i chciwości zarazem, na szaloną myśl poświęcenia w tym celu swéj synowicy, byle jak bądź odzyskać jeżeli już nie pieniądze na statku się znajdujące, to przynajmniéj statek sam, który mówiąc nawiasem w drobne rozleciał się kawałki, tak że po skałach zaledwie tu i owdzie szczątki się ostały. Owóż ta synowica (Déruchette) przedziwnie była piękną — i nic dziwnego że smętna milcząca dusza Gilliata młodego rybaka téj wyspy, gorącą zapaliła się miłością dla urodziwéj synowicy marynarza. Wiedział pewnie o tem stary a przebiegły marynarz, a że znał dobrze charakter Gilliata; przyobiecuje mu tedy oddać za żonę swoją synowicę, byle bądź co bądź sprowadził mu szczątki rozbitego statku. W trakcie tego zmienia się nagle stan rzeczy. Gilliat dostrzega niebawem, że sprzyjająca mu dotąd Déruchette kocha się tajemnie w nowo przybyłym księdzu protestanckim, młodzieńcu wielce układnym i zręcznym. Więc pewnie odmówił przysługi staremu marynarzowi?.... może straszną uknował zemstę? lub wierzył jeszcze w nawrócenie się swéj ulubionéj Déruchette?.... O nie! Dziwna-bo to była dusza tego Gilliat'a, i przedziwna ta miłość, to pokochanie jego Raz pokochawszy, nie mógł już przestać kochać. Tylko że tę miłość namiętną pochował w głąb serca, ukrył z przed widoku wszystkich by mu jéj kto nie zajrzał, a tuląc ją do siebie krzepił swe siły w chwilach nieutulonego smutku — podobny do serca owéj gołębicy, która straciwszy połowę duszy, lata (jak mówi podanie ludowe), nie mogąc sobie dać rady aż do śmierci. Takim był ów Gilliat. Więc nie narzekał, nie pomstował; tylko pragnął gorąco szczęścia... nie już dla siebie, ale dla płochéj Déruchette, dla kochanki, która go porzuciła, dla jé przyszłości, któréj kosztować niemiał, nawet dla ry-J wala swego, byle tylko *ona* szczęśliwą była. Prawda? na serce tak sobie prostacze, zwyczajne, na serce nieokrzesanego rybaka to kochanie niezwykłe.... lecz tem prawdziwsze! Cóż zatem dziwnego, że nawet po takim ciosie dla swego serca, dla tylu nadziei rozkosznych, nie odmówił przysługi staremu marynarzowi. Owszem — a potrzeba było tylko jednego skinienia płochéj Déruchette'y—rzucił się do pracy, a zabrawszy łódź i potrzebne narzędzia okrętowe, puścił się w podróż na skały, na których resztki zdruzgotanego statku znajdować się miały. I dotarł po kilku dniach szczęśliwie. Po przeszkodach, o jakich człowiek pomyśleć nawet nie zdoła, po strasznych burzach, huraganach, po głodzie i chłodzie, zbity, znękany ustawicznemi na falach wysileniami, złamany na zdrowiu i sile, wycieńczony do szpiku i kości, znędzniały do niepoznania, dokonywa przecież swego dzieła, zgromadza szczątki parostatku, znosi je, zestawia, skowa i spaja ile sił i wymysłu starczy, podtrzymuje łodziami i.... z rozpromienionym tryumfem strapionemu przywraca marynarzowi. Tak, to był tryumf.. miłości, rzadkiéj zaiste! tryumf serca nad chciwą zmysłowością, poświęcenia nad mściwością, jednem słowem, zwycięztwo tkliwéj a szlachetnéj cichéj a trwałéj miłości nad nikłym światem, nad ludźmi, nad przyrodą nawet. Taką pozostanie już odwieczna siła miłości — i tak ją widzi, czuje i na ludzi przelewa wzniosły poeta. I chcecież wiedzieć o losie Gilliat'a? Ten młodzian szlachetny, to serce złamane niby, a tak silne, olbrzymie, zgasło.... dobrowolnie, nie zażywszy miłości. Te same fale które przed chwilą słały się kornie do usług jego, pochowały go w swem łonie.

Tak skończył Gilliat, *pracownik morza!*

Poznaliśmy więc główne postacie powieści Hugona: Clubin'a, topiącego statek dla chciwego zysku;

przedziwnego Gilliata, którego jedno słówko płochéj Déruchette'y popchnęło do tylu cudów nadludzkich; poznaliśmy poświęcenie się i śmierć tego młodziana z sercem, którego ocean nawet przemódz nie zdołał, a zabił przecież... urok spojrzenia kochanki; poznaliśmy wreszcie chciwego i zimnego jak głaz opiekuna lekkomyślnéj dziewicy; a i ksiądz protestant, rywal Gilliata, także wam znany. Więc chyba o dążnościowéj i artystycznéj wartości téj legendy morskiéj napomknąćby należało... Ha, cóż robić! Z Hugonem nie łatwa sprawa. To olbrzym, na którego strach i spojrzeć; cóż dopiero chcieć go ogadać bezkarnie. Nie tacy-to, jak my, kruszyli swoje pióra i zęby na tym Fenixie poetów dzisiejszych. Sprobuj skalpelem krytyki poćwiertować go w kawałki, pokrusz go jak chcesz na miazgę, odsądź (jeźli się spodoba) od wszystkiego za to mianowicie, że często gęsto na kościół i ludzi niepowściągliwie wygaduje, zrób z nim co chcesz... zawszeć ni ztąd ni z owąd cały powstaje i po dawnemu olśniewa cię potęgą genjuszu swego. Tak samo ma się i rzecz z ostatnią powieścią jego. Przy uważnem czytaniu znajdzie się w niéj niemało narośli dwuznacznych lub dziwacznych zwrotów do kościoła i porządku społeczeńskiego — ale od czegóż wiara czytających w swoje własne a zacne przekonanie..? Wolno poecie być poetą — nam przecież ostrożnymi być nie zawadzi; mianowicie przy czytaniu większéj części utworów Hugona.

Bądź co bądź, *Pracownicy morza* pozostaną jednym dowodem więcéj potężnego pióra i wieszczego natchnienia tego poety. Uderza tam szczególniéj niesłychana oryginalność w obrazowaniu pojedynczych scen i katastrof morskich, w chwilach tych mianowicie, w których wzniosła postać Gilliata pasuje się w zabójczéj walce z rozhukanemi falami oceanu. Niczem wydają mi się dotychczasowe opisy morza w porównaniu z morskiemi obrazami W. Hugona. Dokładność w nich przerażająca! Krew ścina się lodem na widok rozpienionych żywiołów, miotających się z wściekłą siłą huraganu na drobą łódź pogromey swego — Gilliata. Tu dopiero jawi się potęga człowieka w majestatycznéj swéj okazałości, tuśmy dopiero ludźmi woli i wzniosłego o sobie przekonania, jednem słowem: niemasz żywiołu na zgruchotanie dusznéj potęgi człowieka, jeżeli ją ożywia iskra szlachetnéj *miłości*.

Taką jest idea w *Pracownikach morza* — i można wymarzyć coś wznioślejszego?....

August Jeske.

Pogadanka Tygodniowa



W tece mojéj redakcyjnéj już dawno spoczywają trzy listy, o jakich obszerniéj winienem był także dawno pomówić. Dwa są od młodych panienek, trzeci zdradza starego kawalera i ten dwom pierwszym ustąpi pierwszeństwa. Za zwłokę zacne Korrespondentki serdecznie przepraszam, ale w Redakcji każdéj, to jak na przystanku pociągu kolei żelaznéj będącego w drodze. Wszystko się spieszy, łapie, capie, popycha, wyprzedza..... a w tem ozwał się sygnał jeden, drugi, zagwizdano, zadzwoniono, gwar podrósł, para buchnęła, i pociąg popędził daléj, wijąc się jak olbrzymi wąż po szynach żelaznych; niepomny, że tu przerwała się rozmowa, tam przedstawianie jakiego interesu, ten zapomniał tego, ten owego, a niejeden samego siebie.

W Redakcji tym przystankiem, jest czas poprzedzający wyjście każdego numeru, to nagli, tamto dopomina się, to prosi, tamto domaga się, tu napotyka się zawód, tam opieszałość, a tymczasem dnie migają kłopot powiększa się, robią się szczerby, więc się łata, pasuje, przykrawa, zapycha, bo termin wyjścia już za pasem, a chybić go ani podobna. Zdarza się to wprawdzie czasami, ale wówczas nie życzę Wam być w skórze redaktorskiéj. W takim więc rozwardjasie, opóźnienie się z załatwieniem jakiéj korrespondencji literackiéj łatwe do przewidzenia, i to właśnie było powodem pozornéj méj opieszałości. Przebaczcie zatem Jankowi z Bielca.

W pierwszym z otrzymanych listów, panna R. pisze: „Zastanawiałam się nieraz nad manją napadającą czasami ludzi, mówienia i pisania o sobie, kłopotania głowy słuchającym historją życia, ani ciekawą ani interesującą, życia najczęściéj w biernych warunkach zbyt monotonnie upływającego. Gniewałam się często na takich gadułów, a przecież i ja téj saméj słabości ulegam i pragnę mówić Wam Redaktorze o sobie, chociaż z mniejszem jak inni prawem nudzenia moją niezajmującą opowieścią. Ale mam powód do tego.

Urodziłam się w tym samym zakątku Sandomierskim który Wy tak serdecznie ukochaliście, ale go nie znam prawie. Rodzice bowiem moi mieszkali w Krakowskiem w wiosce wesołéj, ze swemi górami i piaskami, opasanéj niebieską wstęgą Nidy, ustrojoną wiankami olszowych gajów, kobiercami łąk

i rzuconemi zniechcenia ruinami starych dwóch zamków odwiecznych tak malowniczo i cudownie odbijających się w przezroczach naszéj rzeki. Zwyczajny opatrzony to obraz, i opisy takie już tak spowszechniały, że i zabawić nie mogą. Ale doprawdy mnie co wiosna, zdawało się tam wszystko nowem i coraz piękniejszem.

Tam się wychowałam, nauczyłam myśleć, trochę modlić, czasem płakać, ale więcéj śmiać się nieoględnie i cieszyć byle czem. Ludzie mówili, że wioska nasza leżała w brzydkiem położeniu, że w niéj więcéj żółtego piasku, jak czarnéj roli, więcéj gór skalistych i nieurodzajnych, aniżeli pola. Ale mnie te plotki nieobchodziły, mnie tam było dobrze i pięknie.

Na tych górach nieraz godziny całe pieściłam się wpatrywaniem w obrazy u stóp moich rozpostarte: — w srebrne fale przeczystej Nidy, w gromadki słomianych wiosek, pełną dłonią rozrzuconych w około, w szare mury zwalisk zamkowych, które mi jakiemś zamierzchłem wspomnieniem dziejowem lub cudowną opowieścią ludu do duszy gwarzyły. Nieraz tonęłam w takich myślach bez końca, jak nić przędziwa z jednego kłębka wysnuwanych. I bywała taka cisza w powietrzu, taka świętość jakaś rozlana w około, że oprócz śpiewów ptasząt, lub gdzieś zdala, dolatującéj nuty pieśni oraczy lub żniwiarzy, nic nie przerywało takiéj uroczystości. Aż nareszcie po rosie zabrzmiał odgłos dzwonów z kilku białych kościołków okolicy i rozbudził z marzenia, wezwaniem do dziękczynnéj modlitwy. Dobrze mi tam było i dziękować miałam za co.

Jak tam przeszły moje młode lata, to już nie należy do opowieści, wiem tylko żem się tam nauczyła patrzeć na świat i ludzi przez różowe obsłonki złudzeń dziecinnych. Zmieniło się jednak wszystko niedługo, jak to zawsze bywa nietylko w pisanych powieściach, ale i w naszem biednem życiu. Opuściliśmy okolicę, mnie prędko odeszła. tęschnota za wioską bo i tu jest prześlicznie, pełno pamiątek lubych i serdecznych.

W jednéj chwili szczęśliwa nieopatrzna dziewczyna uczułam się zranioną w najdotkliwsze struny serca.... Dawniéj oglądałam się po świecie, ale tylko żeby się zachwycać pięknem i dobrem...... nagle uczułam chłód gdzie spodziewałam się najwięcéj czułości, samolubstwo i nielitościwą obojętność, gdzie powinnoby się znaleść współczucie, chytrą chciwość i chęć ukrzywdzenia w zamian szlachetnego zaufania.... To wszystko smutnie oddziałać musiało, zmieniłam się też do niepoznania, chciałabym jak dawniéj być wierzącą i kochającą, bez granic, a jednak dziś niestety tak często zwątpienie mnie pokonywa.

Poradzcie mi na to. Wy wszyscy co piszecie musicie mieć albo dzielną jaką zbroję na sercu, która nie przepuszcza ni żółci ni żalu do tworzonych wyobraźnią waszych powieści, albo też taki ogrom miłości bliźniego w duszy, że dla niéj przebaczacie i zapominacie wszelkie urazy własne. Jakiegoż to zaparcia potrzeba, nauczcie mnie jak się to dzieje?“ Stan takiéj przemiany myśli i wyobraźni tak serdecznie i malowniczo przez Korrespondentkę przedstawiony, to naturalne następstwo płynącego czasu, przejście od poetycznych uniesień do ziemskiéj rzeczywistości. Chwila to najboleśniejsza, bo podstawa na któréj się czuło tak mocną, trwałą i szczęśliwą, nagle zdaje się zapadać w przepaść. Marzenia, niby gmach wspaniały lecą w ruinę, ale wkrótce poznawszy że świat to mieszanina złego i dobrego, w ludziach nie dopatrują ani aniołów, ani szatanów, tylko ludzi słabych, ułomnych, z zapasem cnót i błędów, samolubstwa i poświęcenia, słowem podobnych do siebie. Wówczas powstaje zapał udoskonalenia ludzkości, przez własne ulepszanie, harmonijna zgoda w myślach, pokora, wyrozumiałość i poddanie się.

Człowiek godzi się sam z sobą i ludzkością a pokrzepia pamięcią Golgoty krzyżującéj Chrystusa. Tak być musi, powiada sobie, mądra Opatrzność wszystkiem mądrze rozporządza, a człowiek za słaba i mała istota, aby mógł wszystkiego dojść swoim rozumkiem. Wierzy więc, modli się i ufa, sądzi siebie, kocha ludzi a radość niebiańska napełnia serce jego niewysłowioną pociechą, że nie upadł, że został czem być powinien wiernym posłannikiem woli Bożéj, siewcą dobrego w sobie i drugich. A ocenienie wartości takiéj pracy nie dopełnia się według jéj wielkości lub rozgłosu, ale według środków w nas spoczywających. Kto wszystkie je zużył na dobro, czy to będą czyny w malutkiem zamknięte kółeczku czy opromieniającem całą ludzkość, zaprawdę powiadam Wam jednakową otrzyma zapłatę. Stwórca wszechrzeczy wszędzie przedstawia się nam jako pełen mądrości i miłości, więc i cel stworzenia musi być temu odpowiedni. Człowiek zatem pragnący żyć wedle woli Bożéj, powinien sprawy żywota swego znaczyć mądrością i miłością, do czego jedna tylko wiedzie droga, własnéj uprawy moralnéj, a przez nią poczciwy przykład dla drugich.

O innych dwóch listach pogadamy w następnym numerze.

O UBIORACH.

Korrespondencja z Paryża.

Mówiliśmy już o okrywkach i kapeluszach wiosennych panien Kuhnke, dziś powiemy o letnich sukniach zakupionych na model w pierwszych magazynach paryzkich. Suknie w ogólności mają spódnice koliste, lub mocno ścięte w kliny, tak, że szerokość ich u dołu jest znaczna, gdy tymczasem zwężają się

zupełnie u stanu. Niektóre zwane *fourneaux* są zupełnie koliste, bez żadnego fałdu, inne mają tylko po dwa fałdy w tyle, inne znów fałdowane po bokach i z tyłu na wielkie kontrafałdy.

Suknie przeznaczone do wyjścia na ulicę, mają zamiast stanika krótki paletocik; przybrany zwykle odpowiednio do spódnicy. Młode i szczupłe osoby, przepasują paletocik paskiem. Do gabrjeli i do wielu sukien z odcinanemi stanikami robią też osobne baskiny z paskiem do wkładania na ulicę, przez co suknia ma zupełnie kształt spódniczki z paletotem. Spódnica u tych sukien bywa zazwyczaj podniesiona w festony na każdym brycie. Najczęściéj festony te przytwierdzone są raz na zawsze. Spódniczka na spód bywa taka sama; (przynajmniéj o tyle, o ile jest widzialną). Rękawy zawsze są wązkie, przystające prawie, tak jednak aby ręka przejść mogła. Po tych ogólnych uwagach, przystąpiemy teraz do szczegółowego opisu owych wiosennych sukien.

Suknia z alpagi białéj, miała na spód takąż samą spódniczkę. U dołu téj spódniczki była plisa z gładkiego fularu szamoa. Na zszyciu każdego brytu szły klapki szamoa wązkie u dołu, rozszerzone po bokach, w górze zakończone w ząb śpiczasty, i przytwierdzone guzikiem z konchy perłowéj. Spódnica wierzchnia objęta u dołu plisą z fularu szamoa, podnosiła się w zupełnie nowy sposób, który z kolei opiszemy. Miejsce stanika zastępował krótki paletocik, obszyty w koło pliską fularową szamoa, spięty na perłowe guziki. Rękawy zakończone były u ręki klapką szamoa odwróconą na dół, tak że ząb spadał poniżéj ręki. Nad rękawem tworzyła epolet takaż klapka, przyczepiona wązką stroną do przodu w sposób, że ząb z guzikiem zarzucony był na tył ramienia. Jest to nowy rodzaj epoletów, przyjęty dziś powszechnie. Paletocik przepasany był paskiem szamoa. Do podnoszenia sukni służyła szarfa w nowym zupełnie guście. Szarfa ta z szamoa fularu, tworzyła z tyłu wolno puszczony feston: po dwóch bokach przytwierdzona była do stanu; od boków spadały szarfy zaokrąglone w końcach. Na tych szarfach dane były w odstępach po trzy dziurki obdziergane jedwabiem. Dziurki te spinały się na guziki, naszyte rzędem po pięć z każdego boku sukni; tak że spinając je wyżéj lub niżéj, można było podnosić suknię mniéj lub więcéj, według potrzeby. Z tyłu suknia podnosiła się całkiem w górę i przeciągała przez szarfę, która jakeśmy powiedzieli, tworzyła w tyle wolny feston. Sposób ten podnoszenia sukien letnich, bardzo nam się podobał, a że niepodobna zrozumieć go dokładnie z opisu, zalecamy więc czytelniczkom naszem, aby nabyły taką szarfę w magazynie panien Kuhnke. Mając jednę na wzór, łatwo można ją naśladować w domu, i zastosować do innych sukien.

Druga suknia kolista z lekkiéj tkaniny wełnianéj, koloru szarego, spięta była do dołu na guziki jedwabne koloru *marron*. Przednie bryty u dołu wycięte były w klapę, zachodzącą na dalsze bryty. Klapka ta obszyta pliską z materji *marron*, przytwierdzona była w środku takimże guzikiem. Paletocik przystający do figury, przepasany paskiem *marron*, miał przody wycięte w takież same klapy, zachodzące ku tyłowi. W górze od przodów zachodziła na ramiona takaż klapa, tworząc zarazem epolet. Skromna ta suknia, odznaczała się wielkim gustem, połączonym z prostotą.

Trzecia suknia popielata wełniana, miała na spód takąż samą spódniczkę, objętą u dołu dwiema plisami z szafirowéj materji. Na wierzchniéj spódnicy nie było żadnego garnirunku, tylko na zszyciu brytów dane były długie liście z szafirowéj materji, szczególnego kształtu, podchodzące pod spód. Liście te przeznaczone do podpięcia sukni w festony, przytwierdzone były raz na zawsze. Do koła spódnicy szło ich ośm. Paletocik wpadający do figury, przybrany był w koło takiemiż samemi liściami, trochę mniejszych rozmiarów: było ich także ośm. Na ramionach podobne liście, zarzucone szerszą stroną ku tyłowi, tworzyły epolet; mniejsze liście tworzyły mankiet u ręki.

Czwarta suknia wełniana z szaréj alpagi, miała na każdym brycie klapkę w formie słupka, zwężonego u góry, pod tym słupkiem szły w poprzecz trzy pliski jedna nad drugą, wystające z obu stron na pół ćwierci łokcia. W miejscu gdzie plisy te podchodziły pod słupek, naszyte były fijołkowe jedwabne guziki. Tak słupek jak i plisy zrobione z téj saméj alpagi co i suknia, objęte były w koło fijołkową materją. Klapki te dane na każdym zszyciu brytów, służyły do podpięcia spódnicy. Miejsce stanika zastępował paletocik do stanu, zakończony w czworograniaste zęby *(en créneaux)* objęte fijołkowym rulonem.

Piąta suknia szara fularowa, w formie Gabryeli, spięta była z przodu, na rząd guzików z konchy perłowéj. Po obu stronach tych guzików, szła wzdłuż sukni wstążka niebieska na dwa palce, powleczona wstawką kluni z brzeżkiem po bokach. Pasek niebieski pokryty takąż koronką, spinał się z boku na rozetkę *(chou)*, ułożoną z materji niebieskiéj i z koronki. Naramienniki i mankiety u rękawów, składały się po prostu ze wstążki, powleczonéj wstawką. Takież same kieszonki po bokach dopełniały całości.

W ogólności suknie ubierane wstawką kluni, będą w tym roku używane. Koronka *Cluny* daje się zarówno zastosować do sukni jedwabnéj jak i do wełnianéj. Do wełny można także użyć imitacji, która nie równie mniéj kosztuje. S. D.

Opis deseni do haftu, czepeczków, bluzki tybetowéj i deseniu na taboret lub poduszkę.

N. 1. Czepek tiulowy ozdobiony koroneczką i aksamitką (Krój tego czepka na drugiéj stronie arkusza pod N. 13). — N. 2. Suknia popelinowa z takimże kaftanikiem. (Krój od N. 1 do 4). — N. 3. Deseń do krzyżowéj roboty na taboret albo poduszkę. Potrzeba włóczki czarnéj, szafirowéj w dwóch odcieniach i białéj lub filozeli koloru maisowego, oraz kanwy odpowiedniéj grubości. N. 4. Bluzka kaszmirowa układana w bufki. (Bluzek takich gotowych dostać można w magazynie pani Kwiatkowskiéj po rs. 11). — N. 5. Czepek ułożony z bufek tiulowych. (Krój pod N. 7 do 9). N. 6. Czepek muślinowy ozdobiony niebieską wstążeczką. (Krój pod N, 10 do 12). N. 7. Kołnierzyk płócienny haftowany czarną bawełną. — N. 8. Połowa mankieta. — N. 9. Kołnierzyk z długiemi końcami; kontury wyszyte czarnym jedwabiem albo cieniuchną, włóczką, przeznaczoną do tego rodzaju haftu. — N. 10. Połowa mankieta. — N. 11. Kołnierzyk do haftu atlas-

kowego, białą bawełną. — N. 12. Mankiet. — N. 13. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami. — N. 14, 15 i 16. Narożniki do chustek od nosa. — N. 17. Szlak na batystową chustkę do nosa. W kółeczkach robią się ażurowe krateczki. Punkciki oznaczają stembenek albo drobne węzełki. — N. 18. Szlak do chustki od nosa haftowany w połowie na obrębie, a w drugiéj połowie na pojedynczéj chustce. — N. 19, 20, 21, 22. Desenie do jedwabnych krawatek. Do haftu i wyszycia użyć można jedwabiu w odpowiednich kolorach i perełek czarnych. — N. 23, 24, 25 i 26. Desenie do falbanek.— N. 27 i 28. Desenie do wyszycia sutaszem albo jedwabiem ściegiem łańcuszkowym.—N. 29. Narożnik do chustki od nosa.— N. 30. Alfabet do znaczenia bielizny.

Opis formy kaftanika z kamizelką i trzech czepeczków.

N. 1. Przód kaftaniczka z karoczkiem. — N. 2. Boczek. — N. 3. Połowa pleców. — N. 4, Rękaw. Kaftanik taki służy do sukni zamiast stanika, zrobić go można z aksamitu, materji, kaszmiru i z każdego wełnianego gładkiego wyrobu, tak jak suknia. Wzór nasz przedstawiony pod N. 2. na tablicy deseni do haftu, zrobiony jest z szafirowéj gładkiéj popeliny na białéj muślinowéj podszewce. Brzegiem garniruje się kaftanik szczoteczką z szafirowéj wstążki, dając między bokiem a odwiniętą klapką i plecami, pukle z czarnéj aksamitki albo wstążeczki szafirowéj. Ten sam garnirunek powtarza się na klapkach przy rękawach, około szyi i na przodzie kaftanika. — N. 5. Przednia część kamizelki damskiéj do powyżéj opisanego kaftanika. Zrobić ją można z materjału kaftanika albo z materji czarnéj lub aksamitu. — N. 6. Połowa pleców. Plecy zwykle bywają z perkalu albo dymy, obłożone tylko u dołu skosem wyrobu sukni. — N. 7. Połowa czepeczka tiulowego. — N. 8. Połowa czółka. — N. 9. Połowa karczka. Wykroiwszy z czarnego tiulu nagłówek czepeczka nakrywa się go bufkami marszczonemi z białego jedwabnego tiulu, przegradzając każdą bufkę wąziuchną aksamitką czarną. Z przodu czepeczek garnirowany błondynką, i ozdobiony z jednéj strony pukielkami z wązkiéj aksamitki, z drugiéj strony kilkoma gałązkami konwalij. Karczek naszyty fałdowaną wstążką, objętą z obydwóch stron czarną koroneczką. Całość czepeczka na tablicy deseni pod N. 5. — N. 10. Połowa czółka do czepka muślinowego.—N. 11. Połowa nagłówka, który idzie przez środek głowy. Część ta składa się ze wstawek haftowanych i z dubeltowego muślinu wyciętego w zęby. Ząbki podszywają się tiulikiem, aby wypełnić miejsca próżne. — N. 12. Boczna część czepka. Nawet czepeczki muślinowe noszone są w formie *Empire* zakrywają one zaledwie wierzch głowy, zostawiając z tyłu odkryte włosy. Do ogarnirowania czółka użyć można tiuliku, falbanki muślinowéj i wstążeczki jedwabnéj. Całość tego czepeczka pod N. 6 na tablicy z deseniami. — N. 13. Połowa czepka tiulowego. Cały czepeczek składa się z tiulu, wstawki gipiurowéj, koronki i wązkiéj aksamitki. Na krótki czepeczek dochodzący tylko do koka, umieszczone są długie końce w kształcie barbek. Miejsce czółka zastępuje wstawka gipiurowa z koronką, zakończona z tyłu kokardą z aksamitki. Całość tego czepeczka pod N. 1 na tablicy z deseniami do haftu.

Sposób przechowywania mięsa świeżego.

Chcąc przechować mięso w stanie zupełnie świeżym co do smaku, koloru i zapachu, należy wyrąbać głęboki cylindryczny dół w lodzie, w kształcie wązkiéj a długiéj beczki, dno posypać solą nietłuczoną i składać mięso do lodu bez naczynia, przesypując go solą. Nie napełniając dołu zupełnie, na pół ćwierci łokcia, okryć mięso lodem starannie, a nawet i płótnem, żeby powietrze z góry niedochodziło i używać w miarę potrzeby, okrywając zawsze na nowo i osypując solą z wierzchu.

Tak przechowane mięso latem w największe upały, do czterech tygodni nie traci smaku, ani koloru mięsa świeżego, nie ma złego zapachu i nic się nie przesala, tak iż po wymyciu, potrawę i mięso znowu osolić wypada. Do jednego dołu, jednak nie należy więcéj mięsa układać jak na tygodniową potrzebę, a nigdy więcéj jak 80 funtów.

KORRESPONDENCJA.

Pani Malwinie Prze. Dla młodéj panienki najwłaściwsza będzie mantylka szalikowa z czarnéj materji. Wybór ich znaczny w magazynie pana Thonesa po rs. 22. Forma mantylki takiéj *écharpe* umieszczona była w Tygodniku naszym w miesiącu Sierpniu roku zeszłego. Paletocik wełniany z materjału angielskiego na białem tle nakrapiany czarno, albo innym kolorem, kosztuje rs. 25.

Panu G. Milew. Ryza papieru listowego, jak próbka przysłaną była, kosztuje rs. 2.

Pani Paulinie Pra. Kapelusze okrągłe, fasonu przeszłorocznego daleko więcéj są noszone, jak tegorocznego pomysłu, jakiemi są: *japońskie*, *chińskie*, *mandaryńskie*, bynajmniéj nie zalecające się kształtną formą. Kapelusz przesłany obejdzie się jeszcze bez przerobienia. Za dwa tygodnie będzie uprany.

Pani Marji B. Najmodniejsze wstążki mają brzeg jakby kanwowy koloru słomkowego albo wrobiony deseń, naśladujący koronkę *Cluny*. Łokieć takiéj wstążki kosztuje od 60 kopiejek do rs. 1.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu: formy kaftanika z kamizelką, trzech czepków i spis przedmiotów Tygodnika Mód za rok 1865.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

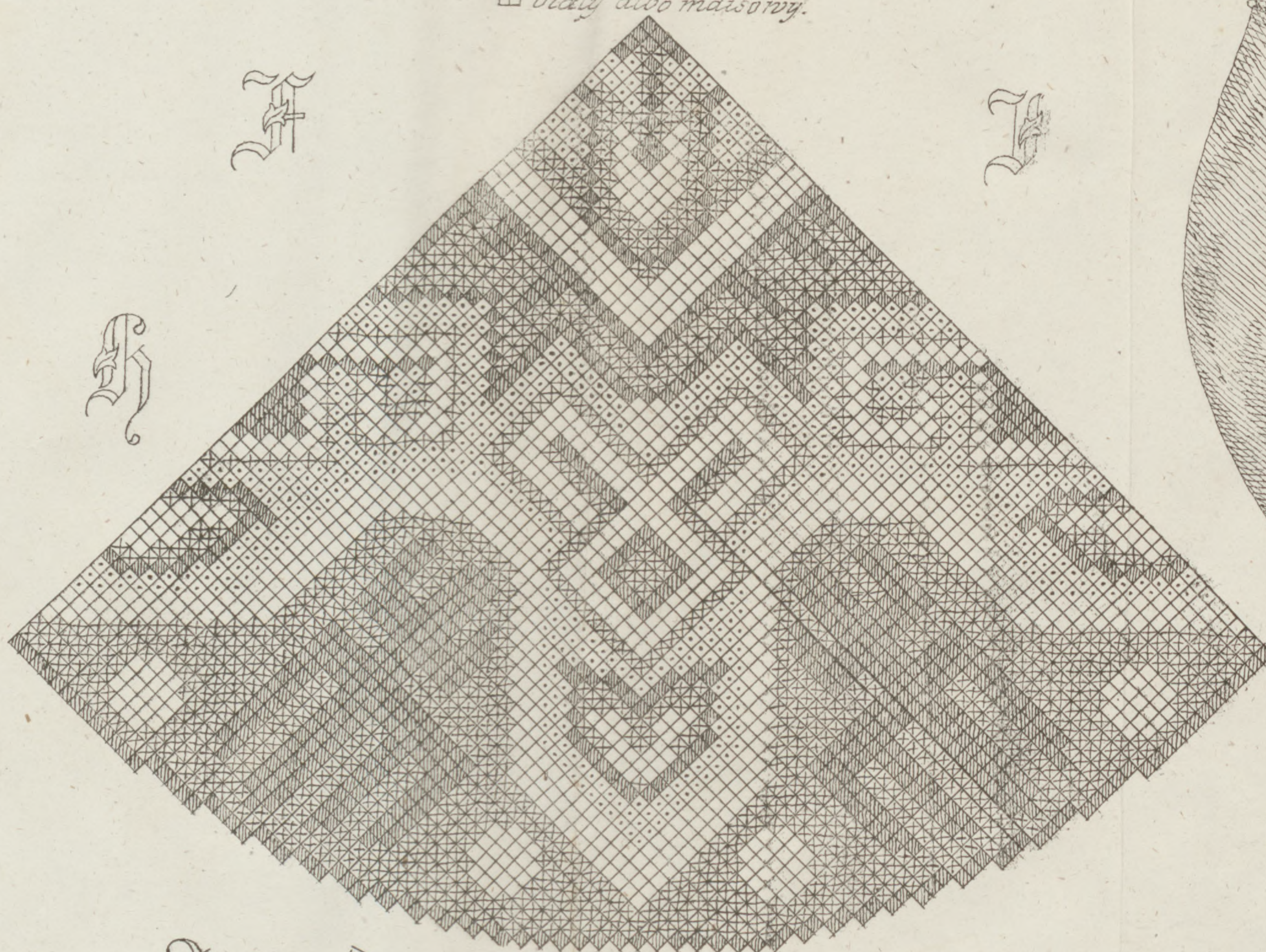


№ 30.

№ 1. Czepek Tiulowy



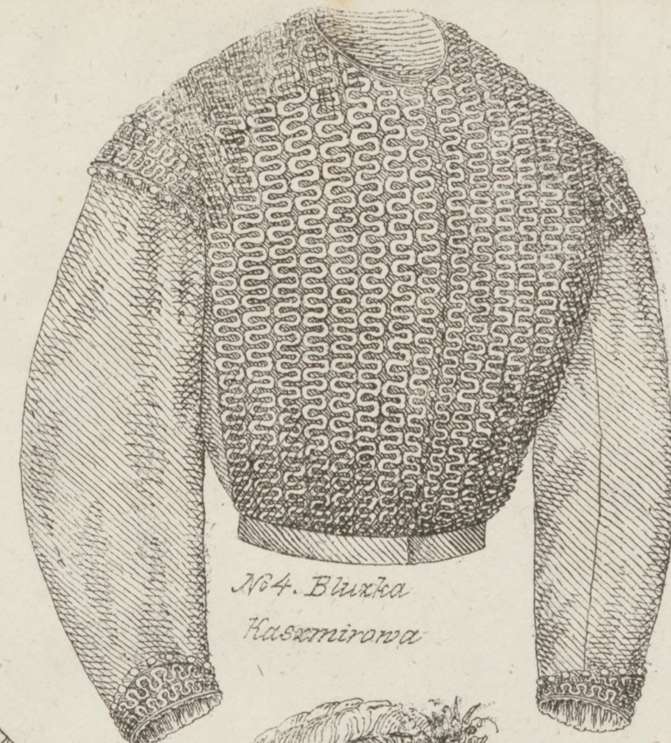
№ 2. Suknia Popelinowa z takimże Kaftanikiem



№ 3. Deseń na okrągłą poduszkę lub taboret

Czarny. ciemnoszafirowy. jasnoszafirowy.

biały albo maisowy.



№ 4. Bluzka Kaszmirowa



№ 5. Czepek tiulowy



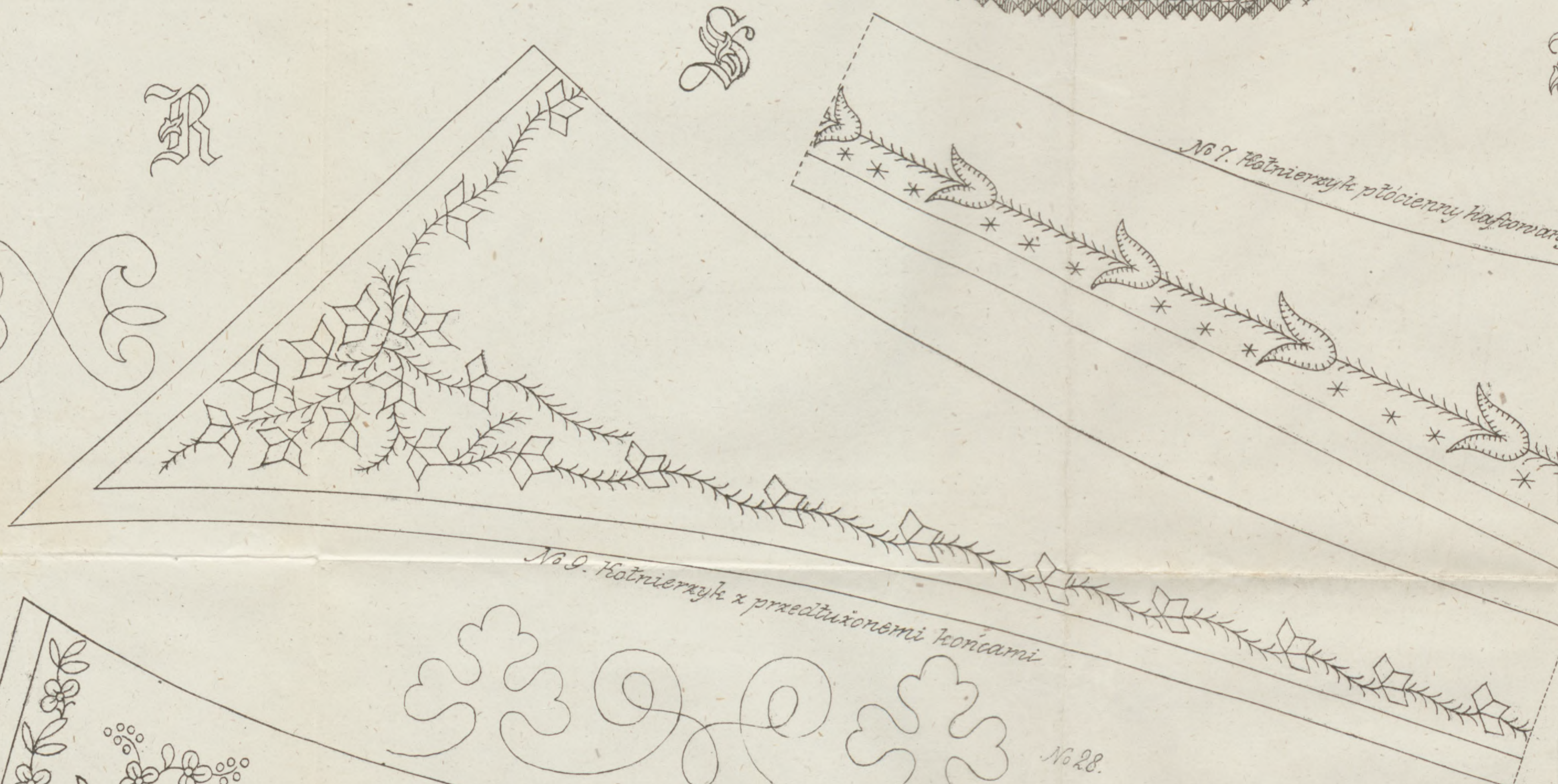
№ 6. Czepek muślinowy

№ 22.



№ 10. Połowa mankietu

№ 27.

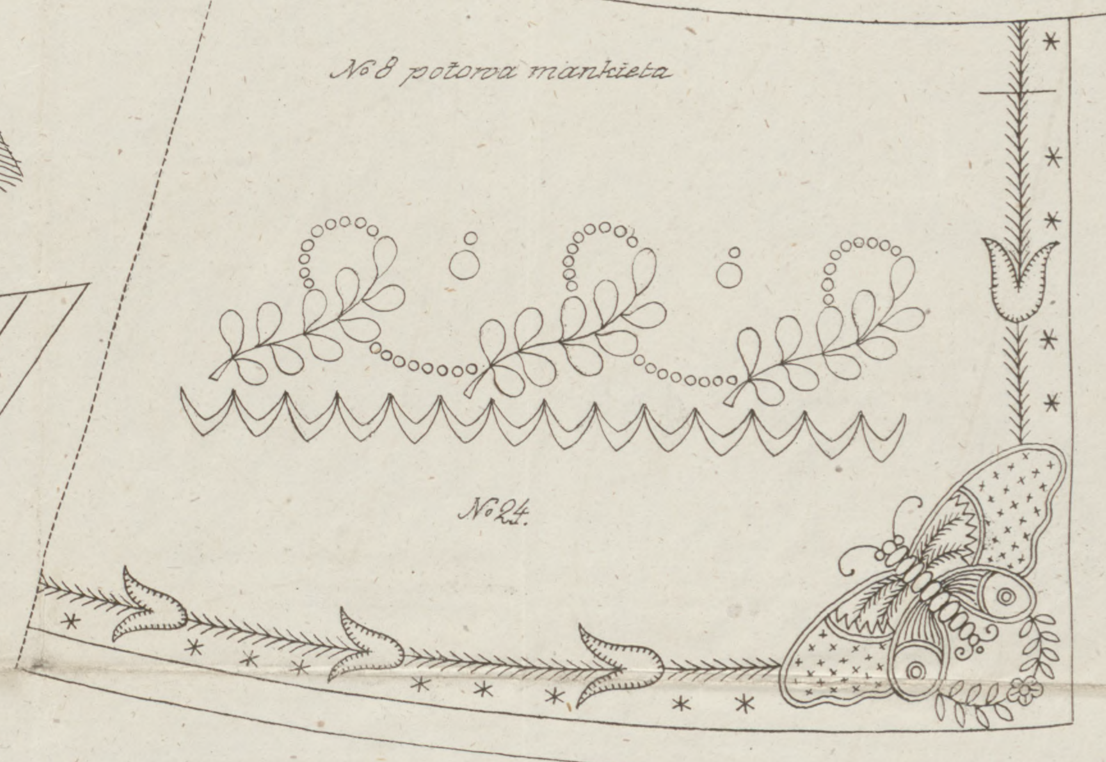


№ 7. Kołnierzyk płócienny haftowany czarną barwetną

№ 9. Kołnierzyk z przedłużonemi końcami

№ 28.

№ 11. Kołnierzyk do haftu atłaskowego



№ 8. połowa mankietu

№ 24.

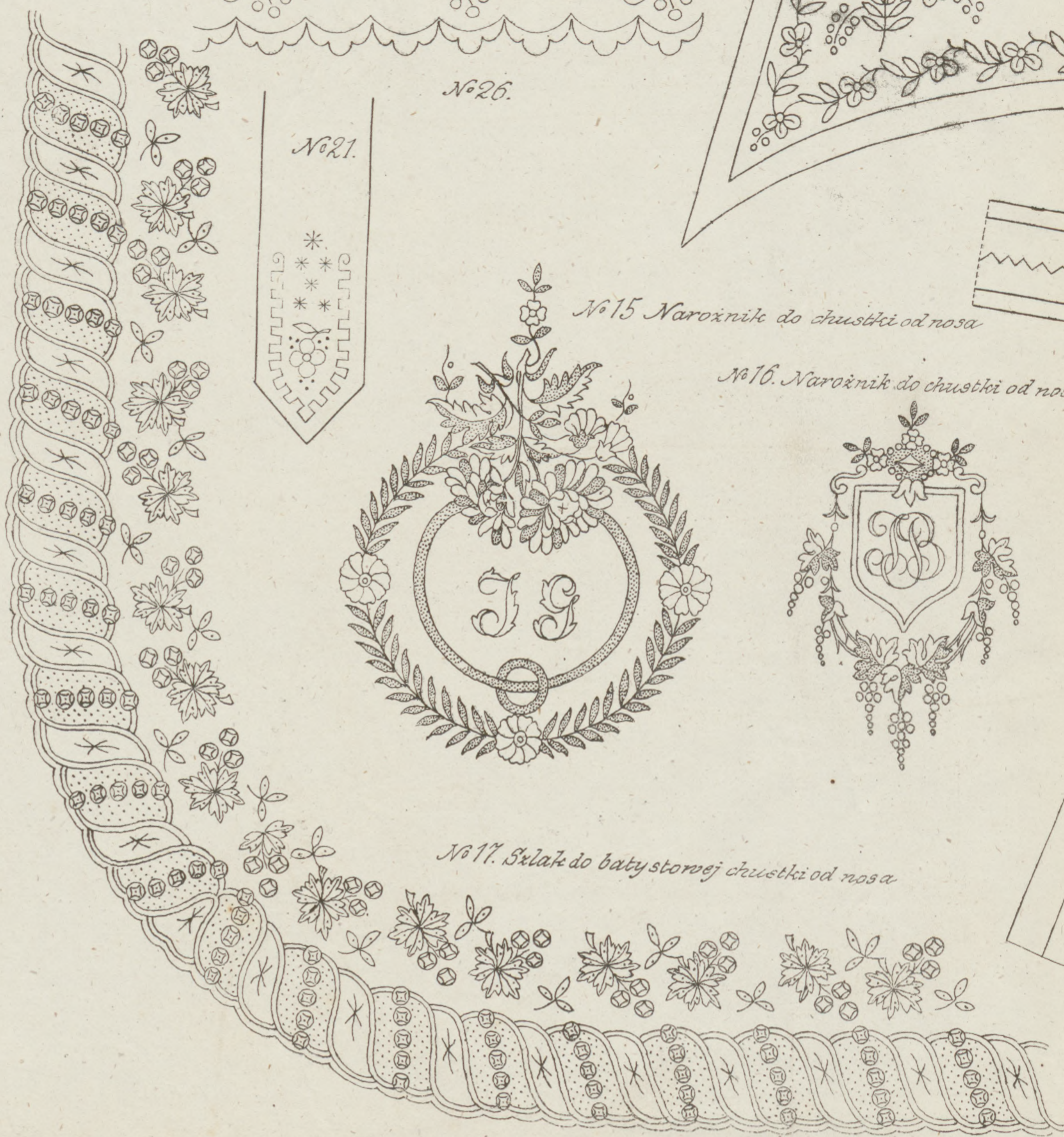


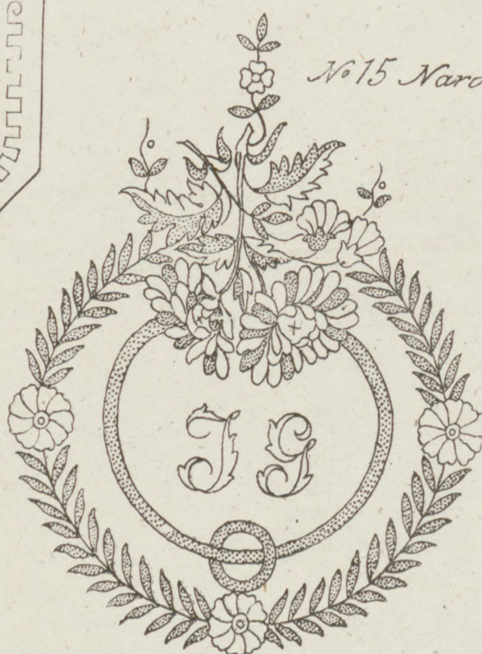
№ 26.



№ 23.

№ 14. Narożnik do chustki od nosa





№ 21.

№ 15. Narożnik do chustki od nosa



№ 16. Narożnik do chustki od nosa

№ 17. Szlak do batystowej chustki od nosa



№ 13. Kołnierzyk stojący z wykładanemi końcami

№ 12. Mankiet

№ 29.

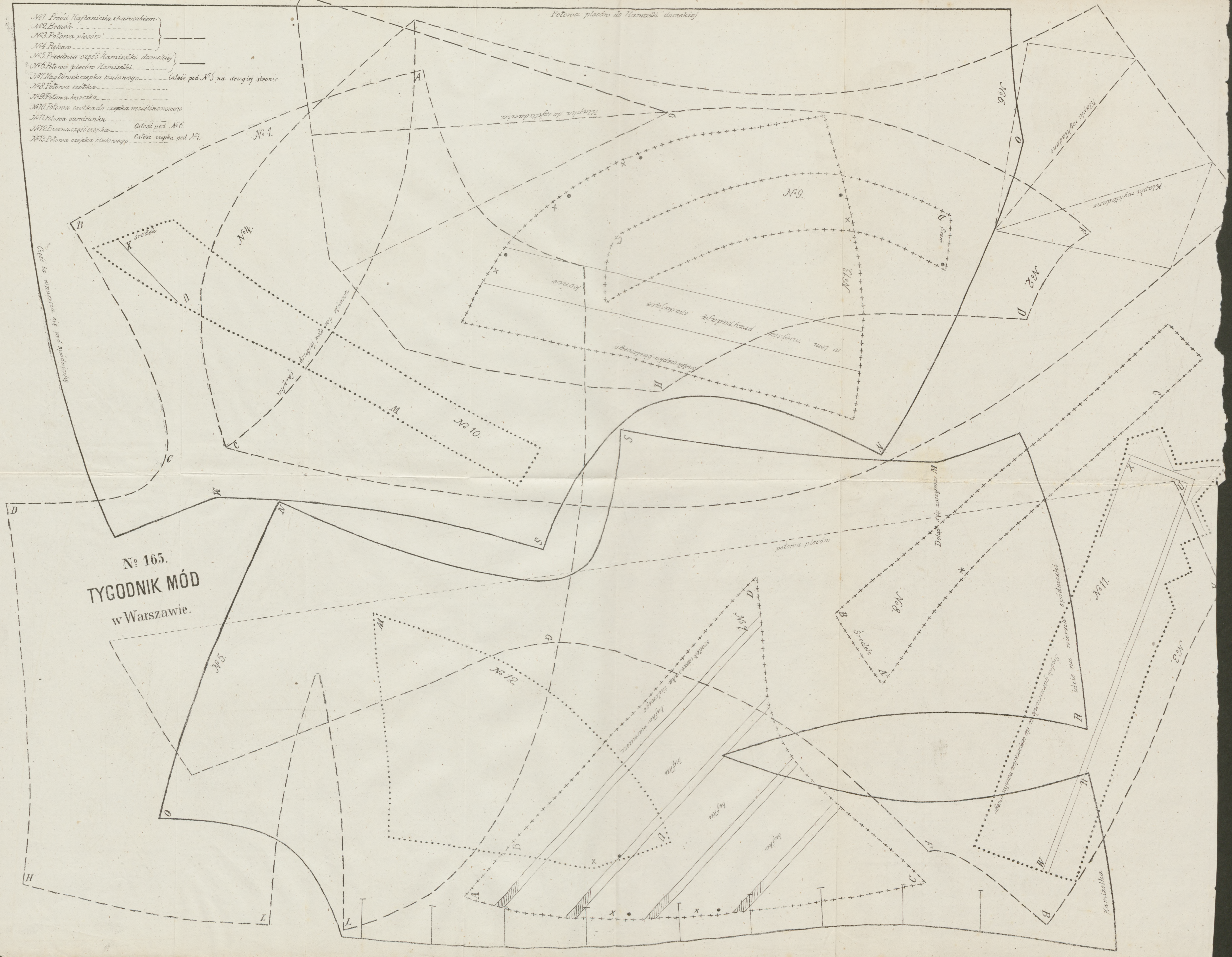
№ 25.

№ 19.



№ 20.

№ 18. Szlak do chustki od nosa nad gładkim obrębem



№1. Przód Kaftaniczka z karoczkiem
№2. Boczek
№3. Połowa pleców
№4. Rękaw
№5. Przednia część Kamizelki damskiej
№6. Połowa pleców Kamizelki
№7. Nagłówek czepka tiulowego
Całość pod №5 na drugiej stronie
№8. Połowa czółka
№9. Połowa karczka
№10. Połowa czółka do czepka muślinonowego
№11. Połowa garnirunku
№12. Boczna część czepka
Całość pod №6.
№13. Połowa czepka tiulowego
Całość czepka pod №1.
Połowa pleców do Kamizelki damskiej
№ 165.
TYGODNIK MÓD
w Warszawie.
połowa pleców

Dodatek do Nr. 18 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 23 Kwietnia (5 Maja) 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)



Skinieniem głowy podziękowałam za tak pochlebne zaufanie, i podał mi papier, który prędko przebiegłam oczyma. Był to list od adwokata z Nimes, donoszący Maxowi, że nie przyjdzie do procesu, ponieważ spadkobiercy naturalni zrzekli się swych pretensji.

— Nie wiem czy mam panu winszować, bo o ile przypominam obiecywałeś sobie z tego procesu bardzo miłe wzruszenia, zapewne więc żałujesz, że nie będzie miał miejsca.

— Eh! to stare dzieje, dziś wyobrażenia moje bardzo się zmieniły, stałem się cichym i lubiącym pokój, i nic tak nie pragnę, jak żyć w zgodzie z całym światem.

— Dobra myśl i łatwa do wykonania; myślę że to zupełnie od pana zależy.

— Tak, tylko że trzeba zawsze obawiać się recydywy; ale z pani pomocą....

— O to nie moja rzecz; nie czuję w sobie zdolności kierowania sumieniami....

— Kto wie? odpowiedział, tak dobrze kierujesz pani swojem! Ale, wracając się do rzeczy, przypominasz pani sobie zapewnie, że postanowiliśmy cały ten zapis, który nam tyle narobił kłopotu, przeznaczyć na fondację szpitala.

— Rzeczywiście miałeś pan ten zamiar.

— I pani także, odpowiedział zniecierpliwiony nieco; proszę chciéj dać mi swoje instrukcje, a zastosuję się do nich w zupełności.

I zadawał mi rozliczne w tym przedmiocie pytania, na które odpowiadałam jak mogłam najlepiéj, to jest, jak mogłam najkrócéj.

Potem podał mi drugi papier.

— Racz pani ten jeszcze przeczytać, rzekł mi, pragnę koniecznie zasięgnąć w tem jéj zdania.

Sądziłam, że będzie to także list o jakimś interesie, ale zobaczyłam ćwiartkę zapisaną drobnym maczkiem, który nie wyglądał bynajmniéj na pismo adwokata; jakież było moje ździwienie, kiedy na podpisie przeczytałam „Emmelina.“ Ręka mi drgnęła, dreszcz gniewu przeszedł mnie po wszystkich członkach.

— Jakże pan jesteś roztargniony! zawołałam tłumiąc swoje oburzenie, mieszasz razem listy od adwokatów i miłosne bileciki. Jest to równie niebezpieczne jak pomyłki aptekarzy. Cóżby powiedziały na to kochanki pana....

— Nie ma tu żadnéj pomyłki odpowiedział mi z stanowczą powaga. Błagam najusilniéj nie odmawiaj mi téj łaski, racz przeczytać ten list, bo nie wiem co mam nań odpowiedzieć. Przyniosę natychmiast papier, atrament i pióro, usiądę obok ciebie, i odpiszę słowo w słowo co mi zechcesz podyktować.

Oburzyłam mnie tak zuchwała śmiałość, odmówiłam, Max nalegał coraz silniéj; wtedy duma nakazywała mi przystać na jego żądanie, aby nie sądził, że się obawiam i nie dowierzam sobie.

— Dziwne panu przychodzą fantazje, odpowiedziałam, i chyba uprzejmość moja dorównać im może; ale sądzę, że zapewne chcesz pan uzupełnić moją edukację, i ukształcić mój styl rozpatrywaniem doskonałych wzorów. Dobrze, przystaję na to.

Wzięłam list z rąk jego i zaczęłam czytać głośno, przeczytawszy kilka wierszy nie dziwiłam się już, że tak nalegał abym koniecznie list ten przyczytała; oto co zawierał:

„Nie przestanę pytać pana: jestże to prawdą, że pewnego wieczora, jest temu sześć miesięcy, znużona, zdrzymałam się w fotelu, że obudziłam się nagle i przy świetle księżyca, zobaczyłam cię nieruchomie stojącego przedemną; że chwilę popatrzyłeś na mnie w milczeniu, i nagle jak cień zniknąłeś? Od téj chwili ani razu już pana nie widziałam, i łatwo pojmiesz, że serce moje prędko się pocieszyło, ale pragnę wiedzieć co się stało, czego pan chciałeś, coś obiecywał sobie, i jedynie w celu dowiedzenia się tego, chciałam koniecznie widzieć się z panem. Słówko odpowiedzi, oto wszystko czego żądam. Po raz dwudziesty zapytuje pana, jestże to prawdą, że ośmieliłeś się wejść do mnie w nocy? czy mi się to tylko śniło? czy jestem wizionerką? Ciekawość mnie pożera, oszaleję chyba jeśli to potrwa dłużéj.“

Czytając ten list, nie mogłam powstrzymać uniesienia radości; wkrótce jednak uczułam jak była nieuzasadnioną. Pomyślałam sobie: przez sześć miesięcy dozwolił mi mniemać..... Czemże to jestem w jego oczach?....

Nie rzekłszy i słowa, oddałam list Maxowi, i zaczęłam haftować. Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

— Raz jeszcze proszę pani, chciéj mi dopomódz, powiedz *czy* i *co* mam odpowiedzieć.

— A panie, tu odpowiedź nie wystarcza; biedna

kobieta, żal mi jéj serdecznie; biegnij pan sam natychmiast, winienneś ją pocieszyć.

— Ale już z jéj listu widzisz, że nie potrzebuje pocieszenia, a jeśli mam wierzyć memu kamerdynerowi, który zna wszystkie miejscowe nowiny, niezadługo pan de Malombré będzie najszczęśliwszym z ludzi.

— Bardzo mnie to cieszy, rzekłam, szczerze życzę mu dobrze, ale ciekawam czemu nie chcesz pan dać swojéj korrespondentce żądanych objaśnień?

— Łatwo to mówić, rzekł, ale to rzecz tak kłopotliwa, że sam potrzebowałbym być objaśnionym. Zdaje mi się, że pewnéj nocy kiedy wiatr dął gwałtowny, ogarnął mnie jakiś napad szaleństwa; wybiegłam prędko z domu, sam już nie wiem jak przebyłem rzekę, pozbyłem się psa co mi zastępował drogę, wskoczyłem na balkon i wpadłem do pokoju w którym zastałem śpiącą kobietę. Przebudziła się, promień księżyca jasno twarz jéj oświecał; patrzyłem na nią; stałem tak blizko, że z łatwością mogłem dłoń jéj pochwycić, jednak ręka moja nie poruszyła się nawet; zdało mi się, że między mną a tą kobietą stoi jakaś przegroda, przepaść, sam już nie wiem co, może nitka tylko, ale jedna z tych co się zerwać nie dadzą. Popatrzyłem na nią powtarzam, i odszedłem. Wolno wracałem do domu; nareszcie usiadłem na kamieniu po nad wodą, i długo, długo tam pozostałem. Tu zapytałem siebie: Czy mógłbym wrócić, gdybym zechciał? i odpowiedziałem: — Nie, — i słuchałem szumu wichru.

— Dziwna doprawdy historja, odpowiedziałam, ale przypuszczając, że mnie cośkolwiek obchodzi, chciałabym wiedzieć więcéj. Przegroda, przepaść.... porównanie nie jest powodem; czy można wiedzieć jakie znaczenie mają w gruncie te wielkie słowa?

— Nie trzeba zbyt surowo sądzić postępków ludzkich, odpowiedział mi z uśmiechem; gdybym był prawodawcą zabroniłbym dochodzenia przyczyn, jak dziś wzbronionem jest dochodzenie ojcostwa. Czyż nie dość czynić i postępować dobrze, choćby nie wiedzieć dla czego? ale gdybym wyznał, że tą przepaścią stojącą między mną a tą kobietą, był cień innéj kobiety, i że uczynione w myśli porównanie, było właśnie przyczyną, żem się oddalił nie odwróciwszy nawet głowy, czyż nie przyznałabyś, że porównanie może czasem być powodem?

— Mogłabym powiedzieć, że są powody niecne i oburzające, odparłam, ale pana cienie i przepaście są zagadką dla mnie, i ani myślę łamać sobie nad niemi głowę.

W téj chwili upadł mi trzymany w ręku kłębek włóczki i potoczył się na dywan; Max schylił się prędko, podniósł i podał mi go na klęczkach. Odebrałam kłębek, on pozostał na kolanach. I tak klęczał u nóg moich, z wlepionemi we mnie oczyma; nigdy nie widziałam go tak czarującym, oczy błyszczały jakimś posępnym ogniem, na ustach ulatał uśmiech sfinxa, zarazem słodki i straszny.

Chwilę oko w oko patrzyliśmy na siebie, nareszcie roześmiałam się gorzko i rzekłam: — Czy wiesz pan o czem myślę? oto gdybyś tylko miał nóż w ręku, możnaby cię wziąść za ofiarnika pełniącego swe obowiązki. Kolana moje przedstawiają ołtarz, a pan gotujesz się do uroczystego poniesienia ofiary; ale tą ofiarą, niestety! jest tylko próżny i nędzny kaprys, który od dawna już własną skończył śmiercią. Możnaż tak oszukiwać niebo? i jestże bóstwo tak pobłażliwe, aby chciało poprzestać na tak nędznéj ofierze?.. No, wstań pan, dość już téj komedji.

To powiedziawszy zaczęłam haftować.

Pewną byłam, że się rozgniewa; przynajmniéj nie okazał tego. Wstał i rzekł: „po cóż haftować tak zapamiętale? przy świetle nie podobna prawie odróżnić kolorów, pewny jestem, że zamiast zielonych, porobisz pani niebieskie liście i jutro wszystko wyparać będzie trzeba.

Nic nie odpowiedziałam, po chwili dodał: — Źle pani robisz, doprawdy, zrobiłaś postanowienie i przysięgłaś sobie na włos nie ustąpić. Nie jest to przezorność ani stałość charakteru, ale po prostu upór. Gdy wszystko w około nas nieustannym podlega zmianom, po co saméj jednéj chcieć zostawać niezmienną? Przed chwilą mówiłaś pani o kapłanach i bóstwach; mnie się zdaje, że Bóg dla tego stworzył serce kobiety, aby przebaczenie miało shronienie i przybytek na tym świecie; ale już nie do serca lecz do rozumu pani przemawiam. Cóż jest życie? oto nieustanny kompromis. Z początku, wszyscy żądamy za wiele, targują się więc z nami, a szalony kto wiedzion pychą nic odstąpić nie chce. Tak, domagać się i odstępować, oto cały życia naszego wątek. Czyż sama pani nie zauważałaś tego nigdy, że najwyższa sprawiedliwość zawsze jest niesprawiedliwością, i że nadużywa praw swoich ktokolwiek domaga się ich w zupełności? Taki to już świat nasz, że każde żywe uczucie jest koniecznie przesadzone; wspomniawszy dawne nasze gniewy, dziwimy i nie pojmujemy się sami, a jednak wówczas, gniewając się byliśmy zupełnie szczerzy; alež bo gniew jest najwięcéj zwodniczym ze wszystkich złudzeń naszych, namiętność przesadza wszystko, a rozum, miarowym nadchodząc krokiem, jednem dmuchnięciem rozwiewa marę..... Ach! pani nie miejmy pretensji do zbytniéj konsekwentności, nie obawiajmy się zaprzeczać sami sobie, świat cały się zmienia, więc i my się zmieniajmy. Wyobraźnia, uczucia, wszystko, wszystko odnawia się jak woda strumienia, a człowiek, którego dziś karzemy, nie jest już tym samym, który zbłądził wczoraj. Co do mnie, gdybym był sędzią, żądałbym aby wyrok potępiający wydawany był przed upływem dwudziestu-czterech godzin od czasu spełnienia winy, gdyby zwlec tylko dwa tygodnie, obawiałbym się, że już nie zbrodzień, ale zbrodnia stoi przed kratkami sądu....

Z resztą wszakże i winy nie są jednakowe; możnaż karać z całą surowością winę będącą raczéj głupotą czy przelotnym szałem, winę która rzeczywiście nie była popełnioną, ponieważ, w ostatniéj chwili, przestrzeżony przez cień, dotknięty nagłym wyrzutem sumienia, winowajca cofnął się przed uczynkiem, i musiał przyznać, że za wiele liczył na swą śmiałość? Jakież to wielkie rękojmie daje na przyszłość takie wyznanie swéj słabości! jak srodze biedny ten człowiek odpokutował za swą fanfaronadę! Mienił się wolnym, uczuł się związanym; pochlebiał sobie, że jest niezależnym, że podlega tylko swym kaprysom i woli, i kaprys jego się rozwiał a wola złamała jak źle zahartowane żelazo; i wzruszony i pomieszany tą zdradą, przekonał się, że nie jest już panem swego serca, i że niewola ta jest mu drogą. O pani! kobiety są tak przenikliwe! nie mylą się w podobnych razach,

odgadują nasze najtajniejsze myśli, nie potrzebujemy oznajmiać im naszéj porażki a ich zwycięstwa, ich przenikliwość uprzedza nasze wyznania, a gdy są dobre i rozumne, wtedy mówią sobie, że są rozgrzeszenia na zawsze zobowiązujące, i że prawdziwą sztuką panowania, jest umieć przebaczać w właściwéj chwili....

Kiedy to mówił rrzyszły mi na myśl słowa, które tylokrotnie odczytywam pewnéj nocy: *„Przygoda stara jak świat, ale może dziś wyda mi się nową.“* Dziś widać na mnie przyszła koléj podobną przygodą rozproszyć jego nudy; i zaraz przypomniałam sobie dalsze jego słowa: *„A jutro?“* O! tak, pomyślałam sobie, gdybym dziś uległa, jakiemże okiem spoglądałby na mnie jutro? i ulękłam się przewidywanych szyderczych uśmiechów!.... I pomyślałam jeszcze: Mówi jak adwokat, ale w całéj téj jego tyradzie, nie ma ani jednego słówka, ani jednego dźwięku pochodzącego z głębi serca!

A jednak mówił z ogniem i wzruszeniem człowieka pragnącego przekonać, które mimowolnie oddziaływały i na mnie, zdawało mi się, że spojrzenia jego zakreślały w około mnie jakieś ogniste koło, ścieśniające się co chwila; wstałam więc i rzekłam:

— Jesteś pan bardzo wymowny, ale słusznie ktoś powiedział, że zawsze mamy więcéj dowcipu obrażając niżli tłomacząc się.... Już późno, jestem znużona, pozwolisz pan, że pójdę do siebie.

Wstał, widziałam że zamierza pójść za mną, zmieniłam więc drogę i zamiast pójść wschodami wewnętrznemi, wyszłam na taras i przechodząc koło całéj fasady, zwróciłam się ku wieżyczce i małym kręcącym wschodkom prowadzącym na galerję. Myślę że zrozumiał mój zamiar, jednak nie przestawał iść za mną. Doszedłszy do małych drzwiczek, rzekłam: Zapewnie masz pan przy sobie kluczyk? Zaczął szukać i znalazł go w kieszeni. Weszłam na wschodki, a doszedłszy ostatniego stopnia, odwróciłam głowę aby go pożegnać, ale on stanąwszy przedemną, utkwił we mnie oczy płonące żądzą i śmiałością; poznałam to spojrzenie czyli raczéj tę błyskawicę, która olśniła mnie w dniu kiedy ofiarował mi lilję i życie swoje.

— Możnaby zniweczyć ten klucz, rzekł drżącym głosem, lub lepiéj jeszcze skassować i zamurować te wschody.

Na te słowa gorzki ból zawładnął sercem: — O to nie dosyć! zawołałam. Trzebaby także zniweczyć tę statuę, która widziała łzy moje, tę galerję, gdzie tak długie przeczekałam godziny, ten fotel, te kwiaty, ten taras, tę balustradę, te drzewa, nawet te gwiazdy, te wszystkie świadki strasznéj mojéj rozpaczy, wielkim głosem oskarżające pana. A gdyby to było możliwem, gdyby nawet wszystko to zamilkło, czyliż zdołasz pan przywieść do milczenia serce co zapominać nie umie, i przysięgło sobie nigdy, nigdy nie przebaczyć?...

Twarz jego przybrała dziki i straszny wyraz, z niepokojem oczekiwałam co nastąpi; ale po chwili wypogodził czoło, twarz wróciła do zwykłego stanu, na ustach zadrgał uśmiech szyderski.

— Oh! zawołał pogardliwie, jakże to czcza gadanina!

I odwróciwszy się pewnym krokiem odszedł do swoich pokoi, ja zaś weszłam do siebie drżąca i zmieszana.

XIV.

Całą noc oka zamknąć nie mogłam. Kilka razy zaczynałam usypiać, ale wnet zdawało mi się, że słyszę jakieś kroki w galerji, zrywałam się więc i siadałam na łóżku, z wyciągniętą szyją, z natężonem uchem. Z nadejściem dnia byłam niewymownie osłabiona i znużona; postanowiłam odetchnąć nieco świeżem porannem powietrzem, aby odzyskać trochę sił i spokoju za nim zobaczę Maxa. Ubrałam się więc prędko, kazałam osiodłać Solimana i pojechałam.

Wszystko zapowiadało piękny dzień jesienny. Niebo zachmurzone nieco od północy, na południu było pogodne i jasne. W nocy mrzył drobny deszczyk i lekko odwilżył ziemię; chwilami miły wietrzyk głaskał mi czoło, a gałązki o które ocierałam się w przejeździe, świeżą poranną rosą twarz moją skrapiały. Oddychałam całą piersią, zdało mi się, że się odradzam do nowego życia.

Czas jakiś jechałam lasem, na lewo, ukazywał mi się chmurny wierzchołek Venturu; u stóp wzgórzy roztaczała się mgła śrebrzysta, jakby lekka i przezroczysta gaza, a w oddali na tem srebrnem tle, rysował się czarno zamek i skała Grignau.

Opuszczając las, zwróciłam się na prawo i wjechałam na kamienistą drogę, ciągnącą się wśród pól i równin, wiodącą do Reauwille, małéj wioski położonéj na wzgórzu. Świeże powietrze, piękność okolicy, rozproszyły mój niepokój; zwolniłam biegu i zatopiłam się w rozmyślaniu.

Co za twarda dusza! mówiłam sobie; co za kamienne serce! jaka tytańska pycha!.... I po cóż kazał mi czytać ten list? z początku radość mnie ogarnęła, ale po chwili zastanowiłam się: niestety! jeśli błąd mój był okropny, prawda jest stokroć okropniéjsza jeszcze! Więc spokojnem okiem patrzył na moją rozpacz, na łzy moje i nie zawołał: „Przebacz mi, nie jestem tak winnym jak myślisz!“ I przez tyle miesięcy dozwolił mi szamotać się z boleścią, i ani sprobował pocieszyć mnie, usprawiedliwić się; nie rzekł ani jednego wyjaśniającego słówka, żadnego nie zrobił przyrzeczenia, nieubłagana duma zamykała mu usta. Ale czegóż to żądam? czemże to byłam dla niego? oto widowiskiem, przedmiotem doświadczeń; znalazł rozrywkę na swoje nudy. Jak też będę postępować? czy potrafię wywiązać się z méj roli? czy wola podtrzyma mnie do końca? Czy nie schwyta mnie na jakiéj słabostce? Jakiż tego wszystkiego będzie koniec? Odgadywał moje męczarnie, i stawały się pastwą jego ciekawości. O jakże jestem słabą, a jak on umie być panem siebie! Jakże silnie oddziaływały na mnie wczoraj, jego głos, jego spojrzenia! zaledwie mogłam odychać, czułam że siły moje zmniejszają się co chwila O Boże! dreszcz mnie przejmuje na samą myśl, coby się dziś działo ze mną, gdybym wczoraj była uległa, ustąpiła jego naleganiom! zdaje mi się, że patrzę na wyniosłe jego obejście jakie dziś zaraz przybrałby ze mną, że widzę pogardliwą radość i lodowaty uśmiech....

Cóż teraz zrobi? mówiłam sobie daléj. Najniezawodniéj obrażona duma doda mu bodźca; powinnam

spodziewać się nowego szturmu. O! Max pewnie nie da za wygraną, nie odstąpi od oblężenia; zapewnie rozmyśla teraz nad jakim podstępem wojennym, i spokojnie mówi sobie: „Tego a tego dnia zdobędę fortecę, załoga się podda“.... Co najgorsza, że nie odwadze i wytrwałości, ale rozumowi memu nie dowierzam. Biedne my kobiety! jesteśmy tak łatwowierne! Gdybym też wyobraziła sobie niepodobieństwo, gdybym uwierzyła szalenie, że nie sama tylko pycha nim włada, że ma i serce, i że w tem sercu... O! powinnam najtroskliwiéj czuwać nad sobą; nikt do dna nię zgłębił nieszczęścia, a ja czuję teraz, że mi jeszcze coś do stracenia pozostało.

Po za wioską Reauville, u stóp skały ściśnionéj ramionami gęstego lasu, leży piękna dolina samotna i dzika, w pośród któréj wznosi i kryje się d'Aiguebelle, ów sławnwy klasztor trapistów. Wzniesiony w pośród dzikich wysoko sterczących skał, zasłonięty niebotycznym lasem, bez widoków, bez horyzontu niemal, zapominający o świecie całym, śmiało można powiedzieć o tym świętym przybytku, *że samem tylko oddycha niebem.*

Widok téj samotni przejął mnie głęboko. Sam tylko głuchy szmer strumyka płynącego smutnie w pośród topoli, przerywał milczenie będące jakby duszą świętego tego schronienia; chwilami dawało się słyszeć krótkie dzwonienie; powietrze zadrgało, skały słabem odpowiadały echem, i znów grobowa zalegała cisza. Zatrzymałam się chwilkę na wzgórzu, przypatrując się téj pustelni i czarnym strzegącym ją lasom, jak gdyby pragnęły oddalić od niéj wrzawę światową i lepiéj dać słyszeć głosy niebieskie. Kiedyś już byłam w Aiguebelle, ale wtedy dojechałam tylko brzegów lasu, i zwróciłam zdjęta niewypowiedzianym jakimś niepokojem; dziś śmiało spuściłam się w dolinę i jechałam wzdłuż strumienia.

Bliżéj klasztoru, krajobraz traci nieco z swéj dzikości; w około budynków rozciągają się uprawne pola, obsadzone morwami i drzewami migdałowemi; na lewo, wzdłuż drogi, ciągnie się długi mur kamienny, zarosły cierniem otoczonym bluszczem. Po za murem rosną drzewa figowe rozpościerające szeroko swe węzłowate gałęzie, a ich świecące pnie okala dzikie wino, mieszając tu i owdzie swe jesienią zczerwienione liście. Zastanowił mnie ten wdzięk przyrody roztaczający się w około muru klasztoru trapistów; możnaż nie podziwiać uśmiechu rozlanego na pustyni?

Jakże żałowałam że kobietom wzbroniony był przystęp do téj samotni! ja tak chciałam przeniknąć tajemnicę klasztoru, widzieć zblizka tych zbiegów ze świata i terminatorów śmierci, którzy przed czasem zaprawiali się do wiecznego milczenia. Uwielbiałam i zazdrościłam im zarazem. Czyż wszedłszy tu można o wszystkiem zapomnieć? myślałam sobie. Czyż razem z tonsurą, zakonnicy ci pozyskują tajemnicę zniweczenia przeszłości? czyż wszelkie wspomnienia ulatują razem ze spadającemi z głów ich włosami? I gdy w około nich wszelkie już ustało życie, czyż nie uczuwają jeszcze w sercu swojem gorączki przeszłości, jak człowiek który pomimo amputacji, długo jeszcze uczuwa ból w odjętym członku. Walczyć, szamotać się między życiem a śmiercią, o to straszna musi być męczarnia! gdybym miała umierać, chciałabym już umierać zupełnie....

Skręciłam na bok i wjechałam w wązką stromą i skalistą ścieszkę, na któréj biedny Soliman potykał się co chwila. Wyjechawszy na podwyższoną równinę, odwróciłam się aby ostatnie jeszcze rzucić spojrzenie na klasztor, i w tejże chwili spostrzegłam w pobliżu tajemniczego nieznajomego, którego kiedyś napotkałam w parku de Lestang, a który potem, jak utrzymywała księżna de C. przychodził w nocy przechadzać się pod memi oknami. Siedział na kamieniu, łokcie miał oparte na kolanach, głowę ukrytą w dłoniach; nieruchomy jak posąg, głuchy na krakanie unoszącego się nad nim kruka, był pogrążony w głębokiéj, z zachwytem graniczącéj zadumie. Coraz więcéj byłam przekonaną że cierpiał na umyśle, i oddaliłam się co prędzéj, aby mnie nie zobaczył budząc się z zachwycenia, bo doprawdy bałam go się trochę.

Kiedy wjechałam na wzgórze wznoszące się około Reauville, zostałam prawie olśniona krajobrazem roztaczającym się przed mym wzrokiem. Jakże to wielka zachodzi sprzeczność między tą smętną doliną, któréj przyglądałam się przed chwilą, a rozległą, uśmiechającą się przestrzenią, która tak rozkosznie rozwijała się przedemną! Na horyzoncie, kilka kłębowato wijących się chmurek, rzucały na bok wzgórzy swe przenośne cienie; a z drugiéj strony, niezmierzona, cała słońcem zalana równina, zdawała się mieć poczucie swéj piękności, i upojona światłem, z rozkoszą poddawała się uściskom nieba. Świeży, powiewny wietrzyk, orzeźwiał twarz moją; sama nie wiem co się we mnie działo, ale uczuwałam w sercu coś podobnego do nadziei. Jaka była ta nadzieja? czegóż mogłam się spodziewać? sama nie wiem. Jeśli się nie mylę, jest jakiś dramat pod tytułem „*Kochać nie wiedząc kogo*“ jeśli tak, można i spodziewać się nie wiedząc czego. Dość że przez chwilę zaczęłam jakby wierzyć w życie, w nieprzewidziane, w coś nieokreślonego, i to nie dające się opisać uczucie, żywe w mem sercu zbudziło wzruszenie; i wzruszenie to zwiększało się jeszcze, im więcéj zbliżałam się do Lestang. Miałam więc za chwilę znowu zobaczyć Maxa; z jakąż miną mnie powita? Cóż wyczytam z jego oczu? jakiemi przemówi słowy? co trzeba im będzie odpowiedzieć?...

Przybywam. Służący wychodzi odebrać konia, i oddaje mi list, który drżącą otwieram ręką:

„Dusza pani tchnie uczuciami prawdziwéj Rzymianki, pisał mi Max, i ani czas ani wymowa moja nie zdołają zachwiać jéj stałości. Nie pozostaje mi więc, jak tylko oddalić się. Nie potępiam jednak nieufności pani, być może, że jest uzasadniona. Masz pani słuszność, najlepiéj zrobimy trzymając się ściśle zawartéj umowy. Jadę do Nimes, żałując bardzo, że nie mogłem pożegnać pani; wiadomy interes załatwie zgodnie z jéj życzeniami, a ztamtąd, korzystając z méj wolności, pojadę wprost do Paryża, i mam nadzieję, że będę mieć przyjemność powitać tam panią.“

Ból ścisnął mi serce; chcąc wejść na wschody, musiałam opierać się o balustradę. Teraz los mój był już roztrzygnięty, nie potrzebowałam nic się już dowiadywać, nie mogłam wachać się ani powątpiewać, list ten był wiernem odbiciem serca Maxa, tak więc żadna niepewność, już nie mogła mieć miejsca.

(d. c. n.)